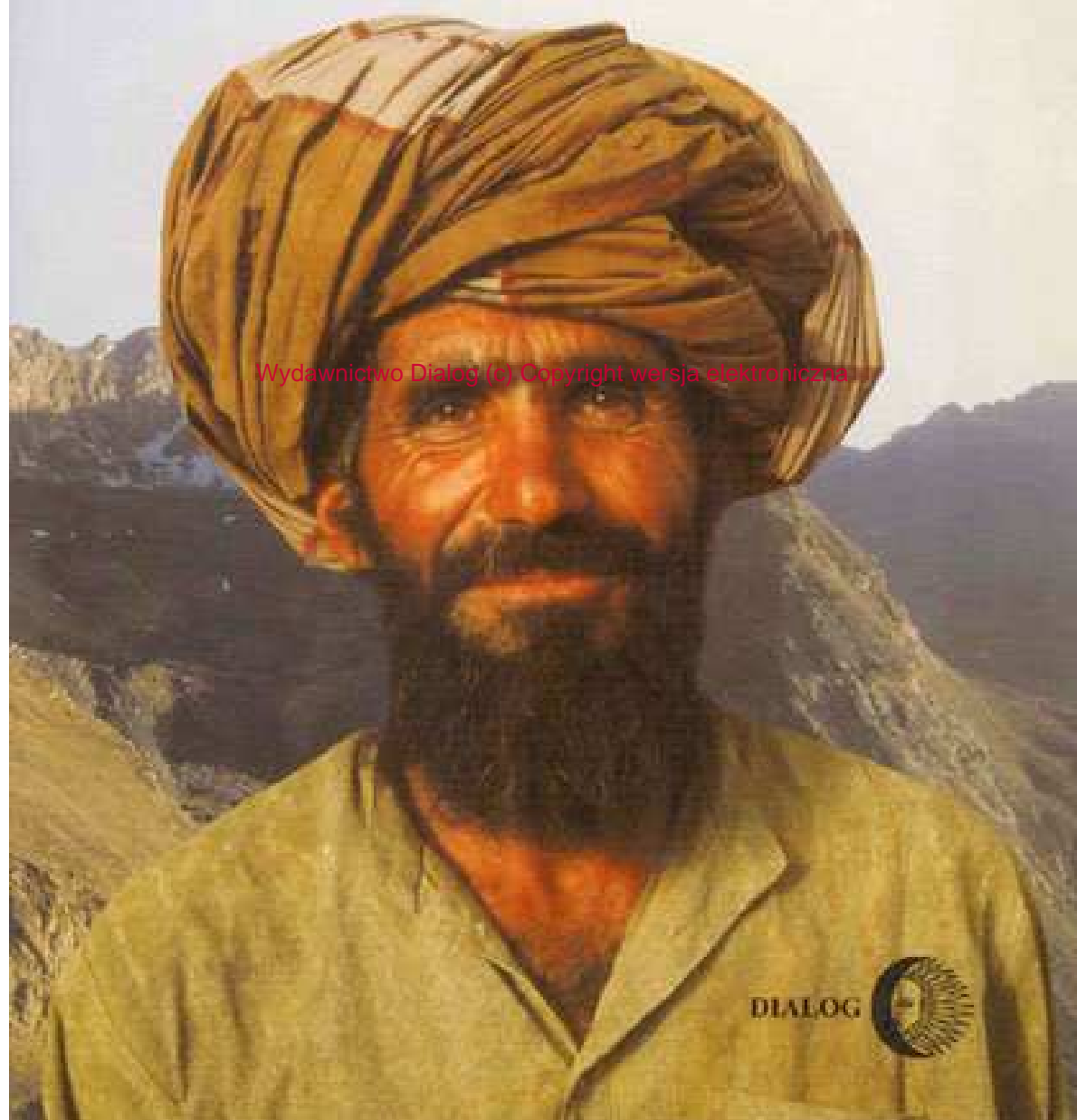


**Piotr Balcerowicz**

# **AFGANISTAN**

**historia - ludzie - polityka**

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna



DIALOG 

Piotr Balcerowicz

# Afganistan

historia - ludzie - polityka

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie



Redakcja i korekta  
Łada Jurasz-Dudzik

Zdjęcia  
Piotr Balcerowicz

Okładka  
Kinga Walter

Skład i łamanie  
Marcin Hołdak

© Copyright by Wydawnictwo Akademickie DIALOG 2001  
© by Piotr Balcerowicz 2001

ISBN (ePub) 978-83-8002-264-5  
ISBN (Mobi) 978-83-8002-268-3

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

00–112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./fax 022 620 87 03

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

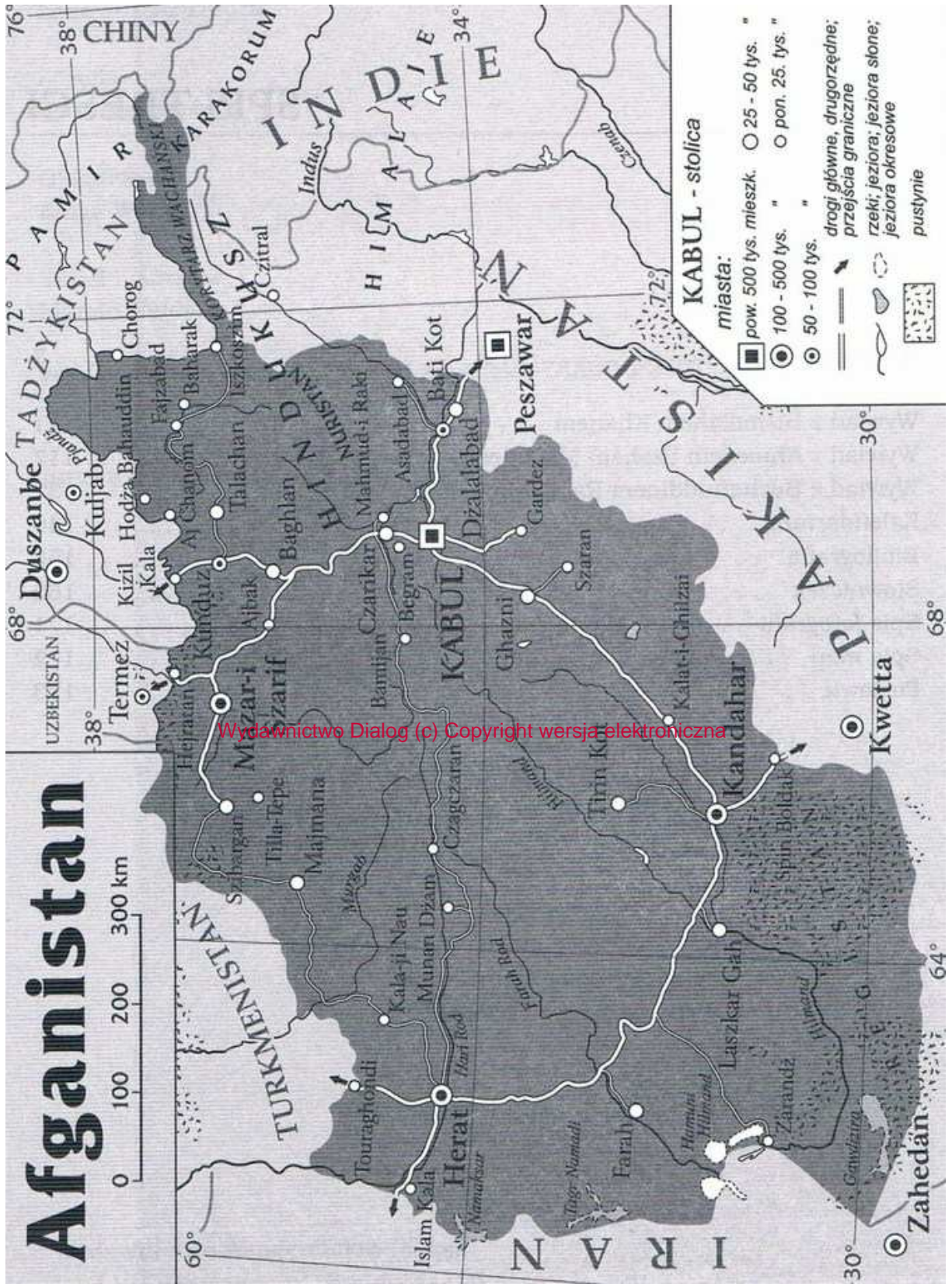
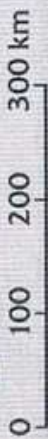
# Spis treści

- [W drodze](#)
- Wywiad z generałem Bismillahem Khanem
- Wywiad z Ahmedem Szahem Masudem
- Wywiad z Burhanuddinem Rabbanim
- Kalendarium
- Bibliografia
- Słowniczek
- Spis fotografii i map
- Posłowie
- O autorze
- Przypisy

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright - wersja elektroniczna

# Afganistan



Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

# W DRODZE

„Wysiadać! Autobus dalej nie jedzie!” — krzyczy żołnierz uzbecki, który wsunął głowę do środka przez uchylone drzwi. „Ale przecież nie dojechaliśmy jeszcze do Taszkentu!” — oponują nieśmiało senni pasażerowie, którzy spędzili całą noc w drodze z Biszkeku, stolicy Kirgistanu. „Przecież nawet nie przekroczyliśmy jeszcze granicy! Mamy bilet do samego Taszkentu! Z kazachsko-uzbeckiego punktu kontroli granicznej do stolicy Uzbekistanu pozostało jeszcze dziesięć kilometrów. Ale Taszcent, oddalony od granicy z Afganistanem o niespełna 700 kilometrów, stał się w przeciągu dwóch lat miastem oblężonym.

W sierpniu 1998 roku oddziały talibów zdobyły północnoafgańskie miasto Mazar-i Szarif, a od Uzbekistanu dzieliła je już tylko siedemdziesięciokilometrowa, przedziwna równina Szur Tappe, gdzie połacie sypkiego, pustynnego piachu przeplatają się ze zdradliwymi bagniskami. Kilka dni później piechota talibów wspierana czołgami stanęła nad brzegami Amu-darii w granicznej wiosce Hejratan. Stąd wprost na przedmieścia uzbeckiego Termezu prowadzi zaminowany most, pośrodku którego wznosi się dodatkowo wysoki mur. Tą drogą, obok ruin buddyjskiego klasztoru z II wieku n.e. w osadzie Fajoz-Tepe, ciągnęły radzieckie kolumny pancerne, Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna zmierzające do Kabulu po grudniu 1979 roku. Tym mostem wracały do ZSRR w tysiącach skrzyń zwłoki radzieckich żołnierzy poległych w walkach na niedostępnych przełęczach Hindukuszu. Oficjalne dane podają, że było ich 15 tysięcy. Eksperci szacują jednak, że w afgańskiej dekadzie poległo aż 40-50 tysięcy radzieckich żołnierzy — pomijając liczne przypadki wewnętrznych porachunków, morderstw i samobójstw. Tym samym mostem powracały radzieckie oddziały dziesięć lat później, zdziesiątkowane i upokorzone klęską. Most zwie się Mostem Przyjaźni.

W lutym 1999 roku nieznanymi sprawcami dokonali w Taszkencie zamachu bombowego na Islama Karimowa, obecnego prezydenta Uzbekistanu, a do 1991 roku pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Uzbekistanu. Głównym podejrzanym była terrorystyczna organizacja islamska Dżumanboja Chodżijewa, zwanego Dżumą Namanganim od miasta Namangan w Dolinie Fergany. Od początku wspierał go Osama bin Laden. Związany z Dżumanbojem Chodżijewem przywódca Islamskiego Ruchu Uzbekistanu Tahir Jaldas uciekł do Afganistanu. Kraj i kręgi rządzące ogarnęła panika.

Późnym latem 1999 roku w Dolinie Fergany, podzielonej między Uzbekistan i Kirgistan, doszło do pierwszych starć zbrojnych między uzbrojonymi oddziałami Islamskiego Ruchu Uzbekistanu w kirgistańskim okręgu Batken. Ugrupowanie to także jest powiązane z Dżumanbojem Chodżijewem i Osamą bin Ladenem.

Teraz — na przełomie lipca i sierpnia 2000 roku — władze uzbeckie starają się za wszelką cenę ukryć informacje o obecnych dramatycznych wydarzeniach w kraju i reagują histerycznie. Oddziały liczące około 800-1000 gotowych na wszystko bojowników Dżumanboja Chodżijewa, przeszkolonych w obozach Osamy bin Ladena, przebiły się przez liczne punkty wojskowe i zmierzają wprost na Taszkent. W ich szeregach mają się znajdować także bojownicy afgańscy, pakistańscy, arabscy i ujurscy. Za kilka dni, w połowie sierpnia, znajdą się około 80 kilometrów od stolicy Uzbekistanu.

Trudno dyskutować w tej sytuacji z uzbrojonym *pogranicznikiem*, którzy każe nam opuścić autobus niedaleko od Taszkentu. Wszyscy wychodzą z pojazdu, by poddać się skrupulatnej kontroli granicznej. Celnicy domagają się łapówki za przystawienie pieczętki w paszporcie i na deklaracji celnej: po 10 dolarów za ruch dłonią. W sytuacji paniki korzysta każdy, kto ma, choć odrobinę władzy: od zwykłego żołnierza po naczelnika przejścia granicznego, do którego zwracam się z prośbą o interwencję.

Skrupulatne kontrole bagażu i kontrole osobiste nie omijają nikogo. Każdy tu jest podejrzany. Przed szlabanem granicznym, tuż przy zasiekach, zatrzymuje się grafitowy mercedes z nalepką CD. Rozmawiam z amerykańskim konsulem i dowiaduję się, że z jedzie z rodziną z Ałma Aty do Samarkandy i Buchary, bajecznych miast Azji Środkowej. Jego nerwowe protesty i groźby złożenia skargi nie pomagają: on także — wraz z rodziną i walizkami — musi przejść przez wnikliwą kontrolę.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawałoby się, że oddalenie Taszkentu od granicy afgańskiej zapewnić może miastu bezpieczeństwo. Niepohamowana histeria, połączona z celową polityką władz, uniemożliwia swobodne przemieszczanie się po mieście. Wejście do metra, wzorowanego na sowieckim baroku metra moskiewskiego, niezmiennie kończy się półgodzinną kontrolą osobistą, przeszukaniem bagażu lub doprowadzeniem na komisariat do wyjaśnienia. Według uzbeckiego kalendarza w 2000 roku doba dzieli się zwyczajowo na osiem kontroli. Między nimi niewiele czasu pozostaje na sen.

Okazuje się, że i tak mam dużo szczęścia. Milicjanci uzbekcy lubują się w podkładaniu do kieszeni kurtki lub plecaka paczuski narkotyków — spreparowanych dowodów obciążających, ażeby potem wymusić od przesłuchiwanej osoby haracz. Nagminne są w takich wypadkach aresztowania i wyroki sądowe. Wielu Uzbeków, przemieszczając się w obrębie własnego kraju, woli zaszyć sobie kieszenie, żeby uniknąć takiej sytuacji. Ja też otrzymuję od mieszkańców taką radę.

Zatrzymałem się przy prospekcie Nawoj w jednym z nielicznych hoteli przyjmujących gości z zagranicy. Stąd już niedaleko do pozostałości starego, średniowiecznego Taszkentu, zmiecionego z powierzchni ziemi 25 kwietnia 1966 roku przez tragiczne trzęsienie ziemi. Hotel był ongiś jednym z lepszych w mieście i jest doskonałym przykładem tego, jak rozpada się dawne imperium sowieckie. Na początku lat dziewięćdziesiątych nowe władze Uzbekistanu w ramach prywatyzacji oddały hotel inwestorom z Indii, a potem bez zapowiedzi wprowadziły

siedemdziesięcioprocentowy podatek od obrotu, krańcowo zmieniając warunki finansowe. Opłatę za nocleg trzeba uiścić w państwowym banku, oddalonym o kilka stacji metra, wpłacając ją na konto państwowe, a nie hotelowe. W sumie procedura opłacenia rachunku za jedną dobę zajmuje kilka godzin. Nie można zapłacić za tydzień z góry.

W samym hotelu trzeba bacznie uważać, żeby zastępy karaluchów nie przestawiły nocą łóżka i nie wyniosły z pokoju bagażu. Należy też zachować czujność, aby nie zostać przysypanym przez odpadający tynk. Właściciel długo i wstydliwie się tłumaczy, ale obecne drakońskie przepisy finansowe uniemożliwiają mu jakąkolwiek renowację:

— Praktycznie cały zysk zabiera mi władza. Nigdy nie widzę pieniędzy moich gości hotelowych.

— Dlaczego stąd nie wyjedziesz? — zastanawiam się na głos.

— Czemu stąd nie wyjadę? Dokąd?! W ten hotel zainwestowałem całe oszczędności mojej rodziny. Teraz jesteście nędzarzami.

Nastanie dnia obwieszcza gniewne kopanie w drzwi i krzyki. Nadeszła godzina szósta — zwana kontrolą pierwszą. Milicja nie próżnuje. Wszyscy mieszkańcy hotelu muszą udać się wraz z bagażami do lobby do milicyjnej kontroli i wyjaśnienia. Chyba nie chcę już dłużej napawać się urokami stolicy Uzbekistanu. Wyjeżdżam!

Swobodny wyjazd z miasta, które w czasach radzieckich było środkowoazjatycką metropolią, tętniąca życiem i pełna obywateli, jest niemożliwy. Dworce autobusowe, ongiś w obrębie stolicy, zostały przeniesione na puste place poza granicami Taszkontu. Nawet przed kupnem biletu trzeba się wylegitymować. Ruch ludności jest w pełni kontrolowany. Taszkont wyznacza wzorce postępowania w całym państwie.

Elita rządząca w Uzbekistanie świadomie korzysta z sytuacji zagrożenia, eliminując przy okazji polityczną opozycję, umacnia władzę i łamie nagminnie prawa człowieka, posługując się hasłami walki z zagrożeniem terroryzmem islamskim.

Mija rok.

Już przez trzy lata z rzędu na przełomie lipca i sierpnia nazwa Batken z kirgiskiej części Doliny Fergany zostaje wymieniana w nagłówkach gazet. Oddziały Dżumanboja Chodżijewa z uporem prowadzą walkę o ustanowienie emiratu, tj. państwa islamskiego, w Dolinie Fergany. Tak przynajmniej tę walkę interpretują władze. Okolona górami Pamiru i sklecona z drewnianych domostw niewielka miejscina, której centrum stanowi Batkenski Dom Kultury, park i dwa bazy, składa się w głównej mierze z zabudowań garnizonowych. Granicę przedmieść leniwego miasteczka od strony gór wyznaczają okopy.

Z Eleną i Robertem rozmawiam w niewielkim studiu radiowym na obrzeżach Batkenu, skąd nadawany jest lokalny program *Salaam*, finansowany przez kirgiską



Fundację na Rzecz Międzynarodowej Tolerancji. Topniejące w połowie lata śniegi na najwyższych przełęczach Pamiru na zachód od Piku Komunizma (7495 m n.p.m.) co roku zwiastują niepokoje. Z niedostępnej bazy górskiej położonej w Tadżykistanie, ośrodka szkoleniowego wspomaganego przez Osamę bin Ladena, do Batkenu przechodzą bojownicy islamscy. Przed nastaniem zimy wycofują się z powrotem w góry. W roku 2000 władze podawały oficjalnie, że w walkach zginęło kilkanaście osób. W Batkenie wszyscy wiedzą, że zabitych było prawie trzystu.

Zdaniem Eleny i Roberta zagrożeniem dla tutejszego spokoju są także przeróżne islamskie ruchy ekstremistyczne, które coraz częściej i skuteczniej wypełniają swoim religijnym przesłaniem odnowy społecznej ideologiczną pustkę, jaka zapanowała po rozpadzie imperium radzieckiego. Mimo sympatii dla nowych prądów, tutejsza ludność z niepokojem śledzi rozwój wydarzeń i ataki islamskich bojowników. Mało kto chciałby tutaj żyć w religijnym państwie, gdzie stosuje się prawo szariat.

Wiszę na stopniach zapełnionego do granic możliwości *ogurca*, jak popularnie nazywa się pękaty autobus z jamnikowatym nosem. Jest to jedyna możliwość przedostania się do Tadżykistanu. Wcześniej przekraczam enklawy uzbeckie. Obecność obcokrajowca w tych odciętych od świata rejonach jest dla żołnierzy zdarzeniem niecodziennym. Częstują zieloną herbatą, wypytują o różne aspekty życia w Europie i nawet nie zauważają, że ważność mojej wizy upłynęła już rok temu. Po zaspokojeniu ciekawości zezwalają na odjazd autobusu.

Szlak do Duszanbe prowadzi przez górskie przełęcze i załomy historii. Na płaskowyżu w okręgu chodżentkim rozpościera się tadżyckie „morze”. Tak nazywają mieszkańcy malownicze jezioro Kajrakum, sztuczny twór powstały przez spiętrzenie wód Syr-darii. Brzegi jeziora porastają winnice, plantacje bawełny i pola ryżowe, pośród których gdzieniegdzie wyrastają domki, ściągające nielicznych wczasowiczów z byłego ZSRR. W wodzie pod jaśniejącą pokrywą fal, lśniących złocistymi łuskami słońca, zamieszkują czarne węże, których śliską obecność można odczuć bezpośrednio, zanurzwszy się w cieplej wodzie. Sporadycznie — przy odrobinie szczęścia — można się otrzeć także o zielone, długie na półtora metra śliskie potwory, które pływając wysuwają płaską, szeroką główkę ponad powierzchnię wody. Mimo to okoliczna ludność i turyści chętnie się tu kąpią — człowiek ma wybitne zdolności przystosowawcze.

Zaprzyjaźniony archeolog Erkin, prowadzący Muzeum archeologiczne starożytnej twierdzy Chodżent, opowiada mi o ostatnich odkryciach archeologicznych w Dolinie Fergany. Samo muzeum w Chodżencie od dawna przestało otrzymywać jakiegokolwiek wsparcie finansowe od władz, a środki finansowe kustosz pozyskuje z datków i darów zagranicznych. Erkin mieszka w odbudowanej baszcie, której fundamenty pamiętają jeszcze czasy Aleksandrii Kresowej (*Alexandreia Eschate*). Obawiając się kolejnego powstania miejscowej ludności, w 329 roku p.n.e. Aleksander Macedoński kazał wybudować w zakolu Syr-darii cytadelę-garnizon, jako trzon miasta otoczonego murem o łącznej długości 10 kilometrów. Miasto-twierdza na północnej granicy

imperium macedońskiego powstało w tempie błyskawicznym: podstawowe prace, w tym wzniesienie zrębów murów i postawienie domów, zajęły 17 dni! Obawy Aleksandra Macedońskiego przed atakiem koczowniczych Scytów (Siaków) na rubieżach państwa musiały być faktycznie ogromne.

Erkin musi pójść na uniwersytet na kilka najbliższych godzin. Zostaję zupełnie sam — zamknięty ze starożytnymi zbiorami w muzealnym skarbcu. Trzymam w ręku ciężki brązowy hełm scytyjski, ujmuję ponadmetrowej długości miecze żelazne ze zdobionymi rękojeściami i zaśnieżone brązowe topory bojowe, zwane *sagari*. Na ruinach zburzonej twierdzy powstawały nowe. Tutaj w 1220 roku Timur Malik dowodził obroną miasta przed atakami pięćdziesięciotysięcznej armii Czyngis Khana. Potem miasto stało się częścią Kokandu, jednej z ówczesnych potęg środkowoazjatyckich, które usiłowała podbić imperialna Rosja. Po włączeniu Chodżentu do ZSRR przemianowano je na Leninabad, a na cześć wodza rewolucji postawiono największy w Azji Środkowej pomnik. W celu umocnienia władzy ludowej pozostałości średniowiecznych murów zrównano z ziemią, a na historycznym miejscu wzniesiono betonowy garnizon. W listopadzie 1998 roku na ulicach Chodżentu w trakcie walk między oddziałami watażki Mohammada Chudoberdiewa a siłami rządowymi zginęło, co najmniej dwustu mieszkańców.

Szczegółowe wskazówki Erkina, dotyczące usytuowania historycznych miejsc, są nieocenione. Przejeżdżam przez górskie obszary, na których w 329 roku p.n.e. wybuchło powstanie Sogdyjczyków przeciwko Aleksandrowi Macedońskiemu. Według greckich historyków, m.in. Arriana, Aleksander krwawo stłumił bunt, mordując 20 tysięcy mieszkańców. Podczas zaciętych walk sam imperator został ranny. Docieram do miasta Ura-Tiube. Nieopodal, na wzniesieniu ponad wyschniętym korytem rzeki można dostrzec ledwo wyraźny zarys glinianych murów cytadeli Kyropola (*Kyreschata*). Osiemnatotysięczna załoga miasta odpierała oblężenie Greków do czasu, aż brak wody zmusił ich do poddania się. Miasto zrównano z ziemią. Trzydzieści kilometrów dalej, nieopodal Szachristanu, rodzinnego miasta Erkina, na zachodnim brzegu rzeki Szachristan-saj na powierzchni 5 hektarów rozpościera się jedna ze znaczniejszych osad sogdyjskiego państwa Ustruszany. Niektórzy sądzą nawet, że był to Bundżykent, stolica państwa Ustruszany<sup>1</sup>. Wdrapuję się po stromym, skalistym zboczu na szczyt dwustopniowego wzgórza, gdzie między VI a VIII wiekiem znajdował się pałac królewski. Aż do czasu podboju arabskiego w latach 712-713.

Stara kremowa wołga, rocznik 1974, której drzwi przymyka się, przywiązując sznurek do framugi okna, wspina się uparcie po stromych zboczach Gór Zarawszańskich na wysokość prawie 3500 metrów. Zatrzymujemy się na szczycie przełęczy, by uzupełnić wodę w chłodnicy: w lipcowym słońcu obaj z kierowcą zeszkrobujemy ze zbocza brudny, szklisty śnieg. W dole piętczą się szare, wzburzone wody rzeki Zarawszan.

Właściwy sogdyjski Bundżykent najprawdopodobniej znajdował się w odległości aż dwustu kilometrów od obecnego Szachristanu, półtora kilometra od dzisiejszego Pandżykentu, jakieś 60 kilometrów od Samarkandy. Tak też jest zaznaczany na mapach, a ludność zna go pod nazwą Kała-i Mug, tj, zamek na górze Mug. Tuż obok biegnie granica między Uzbekistanem a Tadżykistanem. Tam, gdzie rzeka Zarawszan łączy się z dopływem Kum, wyrasta zwalisty, osiemdziesięciometrowy żwirowy masyw, na którego szczycie rozciąga się prawie 20 hektarów zabudowań. W popołudniowym słońcu przechadzam się szerokimi na pięć metrów ulicami stolicy sogdyjskiego władcy Dewaszticza, znanego ze źródeł jako Diwasti.

W odkopanych po 1946 roku pomieszczeniach odkryto setki metrów kwadratowych fresków. Tylko niektóre z nich można oglądać w pandżykenckim Muzeum im. Rudakiego. Tak jak wszystkie najcenniejsze eksponaty, większość trafiła do St. Petersburga i można oglądać je w Ermitażu. Władze tadżyckie chętnie odzyskałyby te skarby, będące ich dziedzictwem kulturowym. Jeden z fresków (V-VI wiek), jakie można zobaczyć w Pandżykencie, ukazuje zoroastriański mit walki boga Ahury Mazdy z demonami, *dewami* Demonicznym zastępom przewodzi brodata, czteroręka postać, o zmierzwionych długich włosach spiętych w kok. W jednej dłoni dzierży trójząb, w drugiej topór-buławę, siedzi na rydwanie ciągnionym przez byka, a jej biodra osłania skóra. Wyobrażenie to bezpośrednio odwołuje się do przedstawień boga Śiwy, znanych doskonale z mitologii indyjskiej. Tradycje mitologiczne Persji i Indii są wspólne, z tą różnicą, że bogowie i demony zamieniły się rolami. Na ziemi tadżyckiej mitologie splatają się w sposób niezwykły: inny fresk sogdyjski przedstawia wilczycę z dwoma ssącymi mleko szczeniętami — niewątpliwe echo rozpowszechnionego w folklorze tadżyckim mitu o królewskich potomkach wykarmionych przez wilczycę<sup>2</sup>.

Noc spędzam w typowym domu tadżyckim: pomieszczenia domowników okalają z czterech stron przestronne podwórze, pośrodku którego rozrasta się bujnie ogród, a z ulicy do wnętrza prowadzi ogromna, żelazna brama. W upalny lipcowy wieczór delektujemy się winem z okolicznych winnic. Iszuszacht wraz z ojcem pielęgnują rodzinną tradycję kupiecką. Z przepastnych piwnic kryjących skarby wyłuskali wspaniały trunek czekający na specjalną okazję. Wino o miodoworubinowym kolorycie jest jeszcze starsze niż dwudziestosiedmioletnia wołga, która mnie tu przywiozła, a mocą dorównuje gruzińskiemu koniakowi. Gospodarze opowiadają historię swojej rodziny i snują marzenia, że jeszcze nadejdą czasy, kiedy starożytne miasta tadżyckie, Samarkanda i Bucharą — odebrane przez Stalina i oddane Uzbekom — powrócą do macierzy. Przedzielenie granicą Tadżyków i oddanie dwóch najwspanialszych miast Azji Środkowej Uzbekom było stalinowską zemstą i odwetem za narodowowyzwoleńczy ruch opozycjonistów tadżyckich w latach dwudziestych i trzydziestych, tak zwanych *basmaczi*. Był to jedyny tak silny ruch zbrojny w Imperium Czerwieni, który przez lata stawiał zacięty opór, urągając radzieckiej władzy.

Zapytany o rodzinę Iszuszacht odpowiada:

— Żona mieszka teraz z naszym rocznym synkiem u swoich rodziców w Samarkandzie. Tam jest bezpieczniej. Jeszcze nie tak dawno tutaj też strzelali. A poza tym skończyła ekonomię na uniwersytecie w Chodźencie i chce pracować. Gdy idzie do pracy, dzieckiem zajmują się teściowie. Tutaj w Pandżykencie pracy i tak nigdy by nie znalazła.

Czy Iszuszacht często ją widuje?

— Samarkanda niby nie jest daleko. Raptem 60 kilometrów. Ale, od kiedy rok temu Uzbekistan wprowadził dla nas wizy, mogę ją praktycznie widywać raz na kilka miesięcy — Żeby móc się z nią zobaczyć, Iszuszacht musi za każdym razem przebyć trzystukilometrową górską drogę do Duszanbe po uzbecką wizę.

O poranku także i ja podążam tą drogą do Duszanbe, by spotkać się z afgańskimi przyjaciółmi. Zanim ich odszukam w Duszanbe, zatrzymuję się w hotelu *Wachsz*, przy głównej ulicy Prospekt Rudaki. Kilka miesięcy wcześniej wyremontowano łososiowy dwupiętrowy budynek o bielonych okapach okiennych, usuwając z hotelowej fasady, pooranej seriami z broni maszynowej, ślady wojny domowej. Podczas wieloletniej wyniszczającej wojny domowej, która wybuchła w listopadzie 1992 roku, *Wachsz* stawał się kwaterą coraz to nowych oddziałów, które przejmowały kontrolę nad stolicą lub jej poszczególnymi dzielnicami, w tym islamskich partyzantów z Kuljabu.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Docieram do Abdula Waduda Kuddusiego, bratanka Ahmeda Szaha Masuda, pełniącego funkcję *attache* wojennego w ambasadzie afgańskiej w Duszanbe. Nie wydaje się ani trochę zaskoczony moim przybyciem. Wiadomość o mojej planowanej podróży zdążyła już do niego dotrzeć od wspólnego znajomego z Waszyngtonu, ambasadora rządu Islamskiego Państwa Afganistanu przy ONZ. Podając dłoń na przywitanie mówi:

— *Assalaam alajkum*. Helikopter już czeka. Jeśli chcesz, możesz lecieć już dziś. Stryj jednak radzi, żebyś najpierw poleciał do Basarak, naszej wioski w Pandźszirze. Do Hodża Bahauddin możesz polecieć w każdej chwili.

— A co z noclegami, przelotami itp.? — pytam. Abdul śmiejąc się odpowiada:

— O nic się nie martw. Wszystko załatwione. Stryj Ciebie zaprasza.

— A za przelot helikopterem... — zaczynam nieśmiało.

— No wiesz! — pada w odpowiedzi.

Duszanbe jest miastem swojskim, przytulnym, po którym chodzi się z przyjemnością. Pomimo skwaru nie czuje się temperatur dochodzących do 40 stopni w cieniu. Przesłone aleje ocieniają rozłożyste drzewa. Stopniowo zapada wieczór. Po Prospekcie Rudaki przechadzają się rodziny z dziećmi. Jeszcze o jedenastej wieczór na deptaku wokół fontanny przed różowawym budynkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych wre życie towarzyskie. Barwnemu tłumowi bacznie przygląda się z cokołu wielki posąg „Somoniego”.

Założyciel dynastii Samanidów, Saman-chudat, żyjący w VIII wieku, o którym wiadomo tyle co nic, urósł w oczach Tadżyków do roli symbolu narodowego. Nie ma nawet pewności, czy pochodził ze współczesnego afgańskiego Balchu, a może z tadżyckiej Samarkandy lub uzbeckiego Termezu. Nie wiadomo też nic o jego synu. Jego czterej wnukowie za czasów kalifa Mamuna (813-833) zostali zarządcami czterech prowincji: Nuh otrzymał Samarkandę, Ahmed — Ferganę, Jajha — Szasz, a Iljas — Herat, położony na terenie północno-zachodniego Afganistanu. Odnosi się wrażenie, że w popularnym przekazie i szkolnym nauczaniu historii w Tadżykistanie okres rządów dynastii Samanidów w latach 819-992 zlał się w spójny okres panowania „Somoniego”. W źródłach tadżyckich Saman-chudat nazywany jest Aleksandrem Somonim, czyli Aleksandrem Samanidzkim — niewątpliwie odniesienie do mocarstwowego charakteru sprawowania władzy na wzór Aleksandra Macedońskiego. Legendarny założyciel państwa Tadżyków, sprawiedliwy twórca prawa i miłosiernie panujący „Somoni” rok temu zajął miejsce na cokole między dwoma lwami, pod strzelistym lukiem zwieńczonym złotą koroną na głównym placu w Duszanbe. Zdetronizował on Abu al-Kasima Firdausiego (?934/941-1020), perskiego poetę epickiego, autora słynnego poematu *Szahname*, legendarnej kroniki obszarów Persji. Pod koniec 1991 roku Firdausi, uznawany przez Tadżyków za wieszczę narodowego, zastąpił na tym samym cokole Lenina. Fortuna cokołem się toczy.

Jeszcze jesienią poprzedniego roku ulice wyludniały się doszczętnie tuż po zmroku, a i za dnia ludzie poruszali się po mieście dość niepewnie: nadal w zbiorowej pamięci brzmiały echa wojny. Obecny spokój dowodzi względnego zaufania mieszkańców do trwałości pokoju, jaki umacnia się w Tadżykistanie po latach wojny domowej. Zrelaksowanej atmosfery nie zmąciły nawet odgłosy strzałów, dochodzących ze wschodnich przedmieść miasta. To oddziały Rachmona Sanginowa, *alias* „Hitlera”, zbliżyły się do miasta. Jego ludzie chwilowo przejęli kontrolę nad obszarami położonymi na południe od Duszanbe aż po Kuljab oraz nad długimi odcinkami głównej drogi, prowadzącej z Duszanbe do Chorogu w Pamirze, miasta graniczącego z Afganistanem.

Banda Rachmona Sanginowa to pozostałość po pięcioletniej wojnie domowej. Wcześniej walczył on przeciwko oficjalnemu rządowi, wspieranemu po 1992 roku przez Rosję, choć z trudem można by przypisać mu motywację wyłącznie polityczną czy religijną. Wprawdzie byłoby mu wygodnie podpisywać się pod fundamentalistyczną ideologią islamską, lecz kierują nim raczej inne względy, a przede wszystkim niemożność zaakceptowania nowego układu politycznego i rządów Rachmonowa. Być może odgrywa tu też pewną rolę chęć zemsty i próba ucieczki przed sądową odpowiedzialnością za ponad 270 ciężących na nim morderstw i kilkaset innych ciężkich przestępstw popełnionych przez niego lub przy jego bezpośrednim współudziale w ciągu ostatnich pięciu lat. Odpowiedzialny jest on m.in. za szereg akcji terrorystycznych, w tym porwanie dla okupu w połowie czerwca bieżącego roku piętnastu działaczy międzynarodowych organizacji pozarządowych,

niosących pomoc humanitarną, i sześciu pracowników ochrony. Do tej pory stał na czele najliczniejszego ugrupowania terrorystycznego w Tadżykistanie, od lat naruszając spokój w kraju, pomimo oficjalnego zawarcia układu pokojowego w 1997 roku. Ostatnie ostrzały Duszanbe są jego buńczuczną odpowiedzią na działania władz, podjęte przed niespełną tygodniem, 12 lipca 2001 roku, a zmierzające do rozbicia jego organizacji zbrojnej.

Nazajutrz gotuję się do wyjścia, gdy jutrzienka nie zdążyła jeszcze uprzątnąć mroków nocy z miejskich ulic. Samochód do granicznego Farchoru już czeka. Jest to najpośledniejszy, zdezelowany żiguli, żadnym wgnieceniem i zadrapaniem nieodbiegający od lokalnych wzorców. Nie będzie przyciągał niczyjej uwagi po drodze. Pierwszy odcinek asfaltowej, dwupasmowej drogi jest całkiem przyzwoity. Tylko niekiedy trzeba ostrożnie omijać wielkie kratery pośrodku szosy. Jednak już wkrótce kierowca zaczyna niespokojnie rozpytywać miejscowych wieśniaków o sytuację na drodze i o możliwość bezpiecznego przejazdu.

Od tej pory jedziemy już wyłącznie po pylistych wiejskich drogach, przejeżdżając raz po raz przez prywatne obejścia i zagrody, z dala od uczęszczanych szlaków, żeby nie natknąć się przypadkiem na bojowników Rachmona Sanginowa, włóczących się po okolicy. Na tych właśnie terenach specjalne siły rządowe tropią jego oddziały. Nie bez powodzenia. Za kilka dni, 22 lipca, grupa dowodzona przez Mansura Muakkalowa, najbliższego przyjaciela „Hitlera”, zostanie rozbita, a on sam zabity. Taki też los spotka wkrótce samego Rachmona Sanginowa, kiedy 17 sierpnia w osadzie Dechibaland, położonej 70 kilometrów na wschód od Duszanbe, stanie on twarzą w twarz z tadżyckimi wojskami rządowymi. Wraz z nim zginie 60 terrorystów, a 80 dostanie się do niewoli. Rozbicie ugrupowania Rachmona Sanginowa stanowi niewątpliwie kolejny istotny krok na drodze do zakończenia wojny domowej, lecz nie jej zakończenie. Na scenie wojennej pozostają aktywiści różnych islamskich ugrupowań, których celem jest utworzenie w Kotlinie Fergańskiej separatystycznej republiki islamskiej.

Rządy Tadżykistanu i Uzbekistanu do organizacji terrorystycznych zaliczają ugrupowanie Hizb ut-Tahrir, czyli Partię Oczyszczenia, która pół roku temu liczyła w Tadżykistanie 5-7 tysięcy aktywistów. Teraz — dzięki amerykańskim akcjom militarnym, które spolaryzowały świat, oraz własnej aktywności — ma zapewne dużo więcej zwolenników.

Program polityczny Hizb ut-Tahrir kładzie nacisk na pokojową realizację własnych zamierzeń, na działalność filantropijną i humanitarną. Jak podkreśla Stanisław Zapaśnik, „w rzeczywistości partia ta nie używa przemocy. Pomaga za to chorym, sierotom, wdowom, zastępując w tym państwo, które wyrzekło się obowiązków socjalnych. Popularność Hizb ut-Tahrir stanowi zagrożenie dla rządu, który zwalczają pod pretekstem walki z islamskim fundamentalizmem”<sup>3</sup>. Tak jest też faktycznie

odbierana przez wielu mieszkańców, którzy nie mają się do kogo zwrócić o pomoc w najprostszych nawet sprawach bytowych.

Utworzona w latach pięćdziesiątych w Jordanii przez Palestyńczyków, partia Hizb ut-Tahrir pojawiła się na politycznej arenie Republiki Tadżykistanu w 1998 roku. W żadnym z krajów, w których prowadziła działalność (Egipt, Algieria, Syria itd.), nie zdobyła takiej popularności jak w Tadżykistanie, a nieco wcześniej w Uzbekistanie. Nieodmiennie wszędzie była zresztą delegalizowana, jako ruch ekstremistyczny.

Jej głównym dążeniem jest wprowadzenie na całym świecie kalifatu, przy czym za grzeszne (*kufra*) uznaje nie tylko rządy świeckie, ale nawet islamskie w takich krajach jak Iran i Arabia Saudyjska. Cele swoje partia realizuje w praktyce, głosząc ideę bezwarunkowego wypełniania nakazów islamu (*czichodi fikri*). W dążeniu do przejęcia władzy dopuszcza także użycie przemocy, jeśli środki pokojowe okażą się niewystarczające. Niektórzy tadżyccy obserwatorzy zauważają, że „działalność Hizb ut-Tahrir jest zgubna nie tylko dla Tadżykistanu, gdzie osiągnięty został kruchy pokój, lecz i dla całego regionu”<sup>4</sup>.

O lawinowo rosnącej popularności partii Hizb ut-Tahrir świadczy fakt, że z powodzeniem podjęła niedawno działalność w Kirgistanie. Ocena tego typu organizacji jest trudna i niejednoznaczna. Z całą pewnością zawierają one potencjał, który w sprzyjających warunkach, w sytuacji braku równowagi politycznej i przy niekorzystnym układzie gospodarczym może okazać się szalenie niebezpieczny.

Z drugiej strony jest niezbitym faktem, że rządy takich krajów jak Uzbekistan wykorzystują hasło fundamentalizmu islamskiego do zwalczania wszelkich form opozycji politycznej i łamania praw człowieka. Oficjalnie w Uzbekistanie aż siedem tysięcy osób skazanych za przekonania religijne odbywa wyroki. Opozycja utrzymuje, że ponad 100 tysięcy osób przetrzymuje się w aresztach bez orzeczenia sądu! Uzbekistan regularnie wymieniany jest na liście państw najczęściej oskarżanych o łamanie praw człowieka. Władze tego kraju są krytykowane także z uwagi na tragiczną sytuację w więzieniach, przepełnienie cel, notoryczne stosowanie tortur czy fabrykowanie dowodów, np. przez podsuwanie narkotyków, jako podstawy do osadzenia w więzieniu lub formy politycznego szantażu. Na porządku dziennym są zgony w celi więziennej<sup>5</sup>.

Nawet, jeśli władze Uzbekistanu ogłaszają amnestię, nie obejmuje ona osób skazanych za przekonania, co w oficjalnym żargonie nazywa się „islamskim ekstremizmem”. Na przykład 28 sierpnia 2000 roku Karimow ułaskawił 10 tysięcy więźniów skazanych za przestępstwa pospolite, lecz do tej pory przetrzymuje się w więzieniach około 2 tysięcy osób powiązanych z partią Hizb ut-Tahrir.

Uzbekistan nie jest wyjątkiem. Także w takich krajach jak Turkmenistan łamanie praw człowieka jest na porządku dziennym. Obowiązuje tam całkowity zakaz działalności partii i stowarzyszeń odwołujących się do założeń islamu, zakazano wjazdu islamskim obcokrajowcom propagującym islam. Pod pretekstem walki

z fundamentalizmem całkowicie zdławiono opozycję. Zamknięto także granicę dla afgańskich Turkmenów szukających tu azylu.

Po ponad sześciu godzinach docieram na miejsce. Zazwyczaj podróż trwa o połowę krócej. Na peryferiach miejsciny Farchor nieopodal granicy z Afganistanem znajduje się niewielkie lotnisko, udostępnione helikopterom demokratycznej opozycji afgańskiej przez 201. Zmechanizowaną Dywizję Piechoty WNP. Okala je rozsypujący się druciany płot, a na obrzeżu stoi piętrowy barak, przeznaczony dla żołnierzy WNP, i parę afgańskich namiotów. Przy bramie wjazdowej nieufnie stąpa gigantyczny wyrwidąb i niebezpiecznie zbliża się coraz bardziej do mnie. Karabin maszynowy wymierzony w moją klatkę piersiową wydaje się w tej sytuacji tym bardziej zbędnym dodatkiem.

Z oczyma wzniesionymi ku niebu, a czołem na wysokości jego klatki piersiowej pośpiesznie wyjaśniam, kim jestem, i pytam o pułkownika Dżanchana, sprawującego pieczę nad afgańskimi helikopterami na tym lotnisku. Na końskiej twarzy z wysuniętą dolną szczęką pojawia się uśmiech: zapewne rzadki przebłysk zrozumienia na jego obliczu. Wielkolud wysuwa ramię na powitanie, a moja dłoń zapada w przepastne otchłanie jego ręki, niczym w imadło. Stalowy ucisk się zamyka.

— Pułkownik Dżanchan jest tam — wskazuje na pobielone ściany świeżo wzniesionych parterowych pomieszczeń dla bojowników afgańskich z ochrony lotniska. Nie rozluźniając uścisku, prowadzi mnie we właściwym kierunku. Jego jeden krok to trzy moje. Podążam za nim w beładnym truchcie.

— *Assalaam alajkum!* Jak minęła droga? Abdul dzwonił do mnie wieczorem. Mówił że będziesz około dziewiątej. Teraz jest już 13.30. Stało się coś? Nie miałeś problemów po drodze? Teraz jest tu niespokojnie — Pułkownik Dżanchan wychodzi na powitanie i zasypuje mnie gradem pytań, a gestem dłoni zaprasza serdecznie do środka.

Trafiłem akurat na porę obiadu. Dowódca je razem z szeregowymi żołnierzami, siedząc po turecku na podłodze. Ten egalitaryzm, przejawiający się we wspólnym spożywaniu posiłków i dzieleniu trudów wojny, jest charakterystyczny dla Afganistanu, o czym przekonam się jeszcze wielokrotnie. Choć Tadżykistan jest najbiedniejszym krajem z dawnych republik radzieckich, a od dwóch lat grozi mu klęska głodu, to i tak strawa, jaką się posilamy, stanowi wyborną ucztę. Tutaj, w Tadżykistanie południowym dużo łatwiej o zaopatrzenie w żywność niż w samym Afganistanie.

Obecność gościa powoduje, że na obrusie rozpostartym na podłodze pojawiają się cenne wiktuały, trzymane na specjalne okazje. Podstawowym składnikiem posiłku jest płaski chleb (nan) grubości palca, karbowany wzdłuż, ułożony warstwami na rozpostartym płótnie. Dżanchan bierze do ręki chleb, rwie go na duże kawałki i rozkłada po całym stole, symbolicznie dzieląc się posiłkiem z pozostałymi,



siedzącymi w czworoboku. Podłużne chlebowe plastry pochodzą ze specjalnego pieca zwanego *tandur*, jakże popularnego w całej Azji Środkowej i w Indiach. Ogromną glinianą czaszę zagrzebuje się w ziemi, a węgiel drzewny umieszcza na spodzie. Piekarz szybkim ruchem ręki wrzuca do środka pieca rozwałkowane ciasto, które samo przylega do ścianki. Po kształcie chleba, jego karbowaniach i maće można rozpoznać grupę etniczną. Chleb można jeść sam, maczać kęsy w baranym bulionie (*szorwa*) lub w ściętym, zawiesistym jogurcie (*mast*), który daje się wręcz kroić na płaty nożem. Sam jogurt można też dodać do ryżu.

Dwie wielkie michy kryją pilaw, przygotowany z ryżu doprawionego na żółto szafranem, rodzynekami i orzeszkami pistacjowymi, z drobno poszatkowaną, gotowaną marchewką (*zardak*), z dodatkiem innych gotowanych warzyw (*kormah*), w tym groszku (*maszong*), ziemniaków (*kaczalu*), dyni (*kadu*) i rzepy (*szalgham*), przygotowanych, jako *curry*. Tak wystawny pilaw zwie się *kabli*. Podaje się go jako wyraz szacunku. W trzeciej misce kryje się smakowita pieczeń barania, polana lekko pikantnym sosem. Z reguły kawałki gotowanego mięsa są już zagrzebane w zwykłym, sypkim ryżu, bez dodatków. Ta skromniejsza wersja pilawu zwie się *czilaw*.

Na osobnym wielkim talerzu ułożone są kawałki pieczonego kurczaka. Przed nami na mniejszych talerzach spoczywają plasterki pomidorów (*bondżan-i-rumi*), ogórków i cebuli, posypane pieprzem i polane ostrym jogurtem. Na osobnym półmisku przygotowano *badrang*, posiekane ogórki zmieszane ze zsiadłym mlekiem, przyprawione pieprzem. Z półmisków spływają dorodne winne grona, żółte jabłka o zarumienionych licach i zniewalające, soczyste plastry arbuza. Popijamy zieloną herbatą.

Jemy prawą ręką, choć przyniesiono łyżki, na wypadek, gdyby były komuś potrzebne. To mnie miano zapewne na myśli. Koniuszkami palców formuje się kęs, a kciuk nadaje grudce właściwy kierunek. Palców się nie oblizuje. Gdy ryż jest sypki, za spoiwo służy sos z warzyw *à la curry* (*kormah*), tłuszcz barani albo płynne masło, zwane *roghan-i-zard* lub *ghi*. Tutaj każdy sam nakłada na osobny talerz, choć w samym Afganistanie z reguły cała grupa biesiadników je rękoma posiłek z tej samej miski, a do jogurtu służy wszystkim jedna wspólna łyżka.

Lewej ręki nie używa się przy posiłku. Służy ona do innych, bardziej przyziemnych celów, przede wszystkim toaletowych. Tradycyjnie używa się do nich grud ziemi lub wysuszonej gliny, a tylko bogatsi i zepsuci kontaktem ze światem zachodnim korzystają z papieru toaletowego. Nie ma zwyczaju korzystać z wody do toaletowych ablucji, na wzór Persów w Iranie czy Hindusów.

Podobnie jak w całej Azji Środkowej, także tutaj szalenie popularne są szaszłyki, zwane *kabab*. Kostki baraniny nadziewa się na drewniane lub metalowe pręty na przemian z grudami baraniego sadła i krążkami cebuli, całość posypuje się różnymi ziołami, z przewagą ostrej papryki i opieka na ruszcie nad żarzącymi się grudkami węgla drzewnego, ułożonymi w metalowych rynienkach. Przy każdej bazarowej alejce na wsi afgańskiej można zobaczyć charakterystycznych

sprzedawców *kababu* stojących za małym, przenośnym i straszliwie dymiącym rusztem, i energicznie go wachlujących, by rozpałić węgle. W rejonach górskich można natrafić na gotowane na parze pierożki z nadzieniem mięsnym (zazwyczaj jest to baranina), zwane *mantu*. Rodem z Tybetu, o różnej wielkości — zrobiły ogromną karierę i stały się popularnym daniem nie tylko w Afganistanie, ale w także w Kirgistanie, Uzbekistanie, wschodnim Turkiestanie, kontrolowanym przez Chiny, Mongolii czy w Nepalu.

To, czego z pewnością nie uświadczy się na afgańskim stole, to wieprzowina, zakazana przez islam. Drugim tabu, choć nie tak skrupulatnie przestrzegany przez bogatszych Afgańczyków, wychowanych na wzorcach zachodnich, jest alkohol. Kilka dni później usiądę wieczorem na ganku skromnego, glinianego domu nad brzegiem rwącej rzeki w Dolinie Pandższiru, rozparty w plastikowym foteliku w towarzystwie przyjaciela i lampy naftowej. Nazir, urodzony i wychowany w Kabulu, mówiący płynnie po angielsku, zapyta mnie odruchowym szeptem — mimo że w promieniu paruset metrów nie ma nikogo — czy przywiozłem może butelkę whisky?... Choćby pół litra tadżyckiej wódki z Duszanbe?...

Przy wspólnym posiłku zaznajamiam się tymczasem z ubranymi w czarne, lśniąco, skórzane kamizelki (*waskat*) dwoma pilotami mojego helikoptera, przy których Schwarzeneger poczułby się nieswojo. Dopijamy herbatę. Służący wynoszą naczynia, a następnie zwijają w rulon duży obrus z grubej, silnej materii wraz z resztkami jedzenia, okruchami chleba i kostkami kurczaka i wynoszą na zewnątrz. Właśnie, dlatego za obrus służy z reguły po prostu trwała cerata lub cienkie linoleum.

Udajemy się w stronę helikoptera. Piloci są już w kabinie. *Khuda hafiz!* — żegnam się pułkownikiem Dżanchanem i pozostałymi żołnierzami. Z wartowni przychodzi się pożegnać wyrwidąb. Gdy znajdę się w brzuchu stalowej ważki MI-17 i ruszą jej rotory, wzbijając pył i suche źdźbła trawy, wielkolud, jako jedyny pozostanie na płycie lotniska i będzie mi machał wielką jak bochen prawą dłońią, krzycząc: *Khuda hafiz!*

W kilka sekund wielkolud zmalął niepomierne.

W helikopterowym wnętrzu oprócz mnie są tylko dwa kartony: jeden ze strzykawkami, drugi ze środkami opatrunkowymi. Jeden helikopter transportowy już zdążył dziś odlecieć, zabierając to, co niezbędne. Drugi miał czekać na polecenie Masuda na mnie, aż do skutku.

Jak na ironię losu, niektóre ze starszych helikopterów (MI-8) z floty powietrznej mudżahedinów pamiętają czasy, kiedy były wykorzystywane przez wojska radzieckie przeciwko mudżahedinom, co potwierdza później w rozmowie gen. Bismillah Khan, dowódca frontu kabulskiego.

W parę minut po starcie przekraczamy rozlewiska Amu-darii, zwanej w tym odcinku przez Tadżyków rzeką Pjandż, a przez Afgańczyków Ab-i-Pandża.

To jest ta sama rzeka, która dwieście kilometrów dalej na zachód stała się śmiertelną zaporą dla wojsk Aleksandra Macedońskiego. Płynie ona wzdłuż tej samej pustyni: tutaj zwanej Kunduz (od dopływu rzecznej i miasta o tej samej nazwie), a tam — Balch. Dla Greków był to Oksus, okalający pustynne obszary Baktrii. Późną wiosną 329 roku lato było szczególnie upalne. Tak przynajmniej sądzili najeźdźcy, choć lata po prostu bywają tu gorące. Wojska maszerowały przez pustynne piaski wyłącznie nocą, chroniąc się przed słonecznym żarem i temperaturami. Najstraszliwszy był brak wody. Z jaką radością helleńskie zastępy stanęły nad brzegiem Oksusu — tam, gdzie obecnie na granicy Afganistanu z Turkmenistanem znajduje się wioska Islamhoza.

Żołnierze pili wodę bez opamiętania. Niestety, woda z tutejszych rzek nie nadaje się do picia. Wody Oksusu zebrały większe żniwo śmiertelne, niż liczba greckich i macedońskich wojowników poległych w zwycięskich bitwach! Dostępność wody pitnej niewiele się poprawiła w ciągu 2300 lat.

Stosunkowo płytkie wodne nitki Amu-darii, o szerokości od metra do kilkunastu, plotą leniwie na piaszczystych pustkowiach misterny warkocz rozlewisk o łącznej szerokości dochodzącej do dwudziestu kilometrów. Tutaj, na ruchomych piaskach unoszonych przez wezbrane wody, przebiega granica między Tadżykistanem a Afganistanem. Po kilku kilometrach od rzecznych nitek połyskujących w słońcu odchodzą geometryczne kanały nawadniające, niosące życiodajną wodę ryżowym poletkom, zieleniejącym aż po horyzont. Przelatujemy nad niewielką wsią, na którą składa się kilka karłowatych domów, wzniesionych z gliny, o płaskich dachach, które zlewają się z pustynnym otoczeniem. Można by pomyśleć, że to wody rzeki wylały pewnej nocy nieco dalej na południe i wyłobily w ziemi jamy i bruzdy, które wysuszyła poranna rozpalona tarcza słońca, tworząc ludzką osadę. Tak oto człowiek powstał z gliny wraz ze swym domem. To wioska Hodża Bahauddin, tymczasowa kwatery Masuda, obrana ze względu na bliskość wody, pól ryżowych i Tadżykistanu, skąd płynie zaopatrzenie. Strategiczne położenie osady jest dobrze przemyślane. Trzydzieści parę kilometrów dzieli ją od linii frontu, więc w ciągu trzech godzin można znaleźć się w centrum walk. Jednocześnie położona jest w niecce między dwiema odnogami rzeczny, co chroni ją przed ewentualnym bezpośrednim ostrzałem artyleryjskim. Stąd otwiera się droga odwodu albo do Tadżykistanu, albo dalej na zachód, w głąb Badakszanu, w nieprzebyte wąwozy Hindukuszu i Pamiru. Jedyne mankament stanowi suche powietrze, spiekota i żar, które tak bardzo doskwierały armii Aleksandra Macedońskiego. Jeszcze kilka lat temu Hodża Bahauddin była nieliczną się osadą, której kartografom nie chciało się nawet nanosić na mapy.

Obniżamy lot i jeden z pilotów wskazuje palcem na cztery płaskie dachy baraków: tu mieszka sam Masud. Jednak za radą Masuda lecimy dalej na południe, do wioski Szahr-i-Basarak, w dolinie rzeki Pandższir, gdzie spędził dzieciństwo. Przez około 350 kilometrów unosimy się nad posępny, nagimi szczytami Hindukuszu, które okrywa łupek, ostre kamienie i wieczny śnieg, uciskający nieprzyjazną litą skałę. Lecimy tak

nisko nad górami, że czasem zdaje się, że dłonią — wysuniętą przez otwarty luk w brzuchu helikoptera — mogą dotknąć głazów i lodowej tafli skuwającej krawędzie granatowo-szafirowych kałuż ze stopniałego śniegu. Centralny Hindukusz wznosi się na wysokość ponad 5000 metrów, z najwyższym szczytem Szah Foladi (5140 m) w paśmie Koh-i-Baba. Góry niezauważalnie wznoszą się ku wschodowi, aż osiągną pułap 7845 m n.p.m. Dopiero za kilka tygodni zobaczę Naoszak, najwyższy szczyt w Afganistanie, piętrzący się nad górską ścieżyną przy granicy z Pakistanem w tzw. Korytarzu Wachańskim. W dole jedna z setek kotlin, niczym szczególnym się niewyróżniająca, a za nią ciągną się podobne, posępne szczyty. Ale ten odgraniczony jedynie słowem od Hindukuszu pas gór, rozciągający się dalej na północ, przybysze nazwali już inaczej: Pamir. Język wyrywa z ciągłej rzeczywistości fragmenty, jako osobne byty, nadając im osobne nazwy, jako granice rzeczy.

Zwyczajowo nazwę Hindukusz tłumaczy się w źródłach, jako „Zabójca Hindusów”, na przypomnienie mrocznego losu najeźdźców z Indii lub też tragicznej doli niewolników wysyłanych na targi w Azji Środkowej. Świadomość tego domniemanego, acz tylko prawdopodobnego tła historycznego zdaje się nieobecna wśród samych Afgańczyków. Najczęściej powtarzaną przez moich rozmówców interpretacją jest nazwa „wodne zbocza”, która miałaby się wywodzić od awestańskiego *hindu*, odpowiednika wedyjskiego *sindhu*, „wody: rzeka” (stąd nazwa rzeki Indus), a forma *kusz* odwoływałaby się do *koh*, „zbocze, góra”<sup>6</sup>. Taka etymologia staje się zrozumiała, kiedy się spojrzy na strome, zwałiste, zbocza górskie, wręcz pionowo opadające w poszarpane doliny, na dnie, których srebrzą się niewielkie górskie potoki. Woda z tych strumieni nigdy nie trafi do żadnego oceanu. Miliony hektolitrow wody spływającej corocznie z gór pochłona bezlitosne, wysuszone i żądne wilgoci pustynie, które zewsząd okalają Afganistan. Piach wysysa doszczętnie nawet mocarne wodne bliźniaczki Syr-darię i Amu-darię. Tymczasem górskie strumienie niosą życie niewielkim tarasom upraw na ziemi wydartej skałom. Wciśnięte między kamienisty brzeg rwącego strumienia a niemalże pionowe górskie zbocza, wspinają się poletka pszenicy, jęczmienia lub kukurydzy — na niższych wysokościach, w części północnej — także ryżu.

Góry Hindukuszu zabijały od zawsze. Nie tylko zresztą Hindusów. Przelatuję paręset metrów nad przełęczą Khawak (Kotal-i-Khawak, 35°40' N. 69°47' E), położoną na wysokości 3848 m n.p.m. Bynajmniej nie jest to najwyższa z przełęcz. Jej niezwykłość wyjaśniają karty historii. Zanim greko-macedońskie zastępy Aleksandra Wielkiego dotarły z okolic Kabulu do rzeki Oksus, musiały się wpięć przez nią przedrzeć zimą. Żołnierze, oślepieni śniegiem, umierali z mrozu i głodu. Łupem wygłodniałej armii padały owce i muły, częstokroć zjadane na surowo z braku ognia. W pokarm obracały się także górskie porosty o ostrym zapachu, zwane przez Greków *silphion*. Marszruty, jakimi przemieszczają się ludzie, zdają się nie zmieniać od dwóch tysięcy lat.

W pobliżu Kabulu helikopter zniża lot i kluczy między szczytami. Piloci wyjaśniają: teoretycznie istnieje taka możliwość, że talibański MIG-21 będzie usiłował zestrzelić jeden z kilkunastu starych helikopterów MI-8 i nieco nowszych MI-17 Sojuszu Północnego.

— A kiedy to się zdarzyło ostatni raz? — pytam.

Wzruszenie ramion i przepraszający uśmiech wskazują, że aż tak daleko nie sięgają pamięcią.

W obłokach pyłu stalowa ważka siada na trawiastej równinie wzniesionej kilka metrów ponad rzeką Pandższir, u podnóża stromego zbocza, obok dwóch z pięciu posiadanych przez armię Sojuszu Północnego bojowych helikopterów MI-35. Na ziemi czeka już na mnie z krótkofalówką Aziz Ahmed Nurzad, sekretarz MSZ.

Niezwykła dolina wije się uskokami na wysokości 2500-3500 m wśród paleozoicznych skał. Aby znaleźć się na wysokości Kabulu, trzeba z poziomu Doliny Pandższiru zejść, co najmniej kilometr poniżej. A to wciąż 1800 m n.p.m.!

W ciągu milionów lat krystaliczne masywy skalne rozplatała wartka rzeka Pandższir mająca 320-kilometrów długości sama zanikła i bezpowrotnie uwolniła swe wzburzone wody w rzece Kabul. Niekiedy jej gniew na mgnienie poskramia wielki blok skalny tarasujący koryto. Przed nim tworzą się głębsze niecki, wypełnione trochę spokojniejszymi wodami. Jeszcze przed chwilą były one lodem i śniegiem na wysokości 5 tysięcy metrów.

Brudni i nieco zmęczeni po parogodzinnej konnej przejażdżce po dolinie siadamy z Nazirem na nadbrzeżnych głazach przy takim rozlewisku. Nieco cienia użycza przekrzywione drzewo oliwne z żółknącymi od upału liśćmi. Nazir rzuca pomysł:

— Masz ochotę popływać?

— Zwariowałeś! — pytam niepewnie — Czy aby jesteś całkowicie pewien, że tu da się pływać?

— No pewnie. Nie widziałeś tutaj wczoraj chłopaków z wioski?! — odpowiada.

No to idziemy. Ostre krawędzie łupków powodują, że trzeba z niezwykłą ostrożnością stawiać każdy krok. Pod względem temperatury woda stanowi przeciwieństwo rozgrzanych kamieni na brzegu i jedynie szybkie ruchy w wodzie powodują, że wodny chłód nie zaciska się boleśnie na kościach i mięśniach. Obserwator stojący na brzegu nawet by nie przypuszczał, że prąd może być aż tak wartki. Parę ruchów ramion i zbliżam się do brzegu rozlewiska, gdzie palcami stóp wyczuwam już ostre kamienie na dnie. Pod powierzchnią wrze. Chwila nieuwagi i prąd rzeki dosłownie wysysa mnie z niecki. Pomimo gwałtownych zmagania z żywiołem, w ciągu kilku sekund znajduję się kilkanaście metrów poniżej, sponiewierany przez fale i przewleczony po kamienistym dnie rzeki. Powrót pod prąd jest niemożliwy. Kilka metrów dalej są już skalne prochy, po których zajadle opada spieniona woda. Tu, gdzie wyrzucił mnie prąd, wyjścia na bardzo stromy brzeg bronią

kolczaste krzaki sięgające do uda i mniejsze, szarozielone porosty nie dorastające nawet do łydek, ale za to z twardymi igłami zamiast liści. Wspinam się boso po zboczu. Dobiega Nazir.

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— Idziemy pływać?

— No pewnie! — odpowiadam.

Wysokość względna w dolinie dochodzi często do 2000 m. Wszędzie piętrzą się nagie, ascetyczne zbocza. Góry spływają w bezdrzewne doliny kilkusetmetrowymi żlebami. Z rzadka spod kamieni, gdzie ukrywają się jeszcze resztki śniegowej wilgoci, wyzierają spłowiata czupryny trawiastych kęp lub wiechcie łamliwych porostów, które dzieci znoszą na opał ze stromych zboczy. Kilka wiehcie, przewiązanych sznurkiem, może służyć także za miotłę w domowym gospodarstwie. Niemożliwością zda się wdrapanie się po stromych piargach. Łupki osuwają się przy lada okazji, a z pozoru stabilniejsze skały o postrzępionych krawędziach odłupują się same, gdy tylko się na nich stanie. A jednak gdzieś widać snujące się w poprzek piargowych zboczy ścieżynki wydeptane przez owce, pędzone dwa razy do roku przez pasterzy. Tędy gnane są owce z okolic między afgańskim Dżalalabadem i pakistańskim Peszawarem na letnie hale w Badakszanie na północy. Żadne granice państwowe nie stanowią dla nich zapory. Ścieżkami wzdłuż zboczy, wśród skał, z których zsunąłby się człowiek, z niezwykłym wyczuciem stają konie.

Surowy nastrój nagich skał cechuje niemal wszystkie doliny Hindukuszu. Ale źródła historyczne wskazują, że w czasach inwazji greko-macedońskiej aż do najazdu Mongołów w XIII wieku, Dolina Pandższiru była stosunkowo gęsto zalesiona. Człowiek regularnie wycinał lasy na opał i przeistaczał ich kruchość w żar pieców, w których przetapiano rudy żelaza, miedzi czy srebra. W końcu pozostał sam wśród nagich, nieczułych skał. Zanik lasów wywarł dodatkowy negatywny wpływ na tutejszy mikroklimat, wzmagając erozję. Trochę drzew przetrwało jedynie w Dolinie Nuristanu, trzy dni jazdy konno przez góry na zachód. W rejonach niemalże bezludnych w ciągu paru stuleci, dysponując tylko ogniem i żelazem, człowiek dokonał nieodwracalnych ekologicznych zniszczeń.

Jak bardzo rozwinął się zmysł technologiczny człowieka od tamtych czasów! Gdy przed rokiem po stopniach wspiałem się na najwyższy taras Persepolis, olśniewającej stolicy Persji, moim oczom ukazały się piaski, które ciągnęły się aż po horyzont. Tylko szaleńcy budują metropolię pośrodku pustyni — można by pomyśleć. Kiedy jednak Dariusz I zwany Wielkim rozpoczął około 512 roku budowę stolicy, była to ziemia stosunkowo żyzna i dobrze nawodniona.

Tak, tylko szaleńcy mogą roić sny o podboju Afganistanu, przychodzi na myśl, gdy przemierzy się górską drogę nad rzeką Pandższir. Zamiast słupków odległość odmierzą rozplątane kadłuby czołgów, wozów opancerzonych i samochodów transportowych, rdzewiejące, co 30-50 metrów. To widomy znak, że przez dziesięć lat

zaciekłych walk wojskom radzieckim nie udało się wtargnąć w te rejony. Im dalej od Kabulu, tym mniej wraków, a po kilkudziesięciu kilometrach znikają one całkowicie. Wieśniacy wskazują palcem nekropolię rdzawych wraków. Opowiadają, jak to w 1986, a może 1987 roku, całkowicie rozbito w tym miejscu kolumnę zaopatrzeniową składającą się z ponad czterdziestu ciężarówek i wozów opancerzonych. Przez następnych kilkanaście miesięcy wieśniacy karmili się rosyjskimi konserwami.

Góry Hindukuszu są twierdzą nie do zdobycia. Ten wyczyn nie udał się ani Aleksandrowi Macedońskiemu, ani Brytyjczykom, którzy w XIX i XX wieku ponosili sromotne klęski w trzech wojnach.

Tam, gdzie wąż wyłobiony przez rzekę Pandzszir rozwiera masywne kamienne ramiona, by ogarnąć nimi otwartą przestrzeń, rozciąga się równina Szemali. Do przedmieść Kabulu w linii poprowadzonej wprost na południe byłoby stąd około 40 kilometrów. Do najbardziej wysuniętej pozycji na linii frontu pozostało jeszcze jakieś 20-30 kilometrów. U wrót do Pandzsirowej twierdzy w wiosce Dżamalagh, a właściwie ze dwa-trzy kilometry dalej już na przedmieściach dzisiejszego Czarikaru, znajduje się kwatery główna generała Bismillaha Khana, głównodowodzącego siłami frontu kabulskiego.

Przede mną siedzi oto barczysty mężczyzna z przystrzyżoną kruczoczną brodą, ubrany na biało w długą powiewną bawełnianą koszulę, sięgającą do kolan, i luźne spodnie. Jest to strój zwany słowem zapożyczonym z hindi: *pajdzama*. Lokalnie nazywa się go w Hindukuszu także *payran tomban*. Siedzimy pośrodku bujnego kwietnego ogrodu, w cieniu altany porośniętej winną latoroślą. Między mną a Bismillahem Khanem stoi stół zastawiony wiktuałami, na półmiskach spoczywają winogrona, o soku tak słodkim, że zlepia usta. Nożami obieramy dorodne jabłka z sadu gospodarza i kroimy je na drobne kęsy — jest to charakterystyczny sposób jedzenia tych owoców, spotykany na każdym kroku.

Spędzamy kilka godzin na rozmowach, zanim wieczorem Bismillah Khan uda się na modły. Jest piątek, 20 lipca 2001 roku. Gospodarz opowiada o obecnej sytuacji na froncie, o możliwościach rozwiązania konfliktu afgańskiego, o ewentualnej roli byłego króla Zahira Szaha, o roli Pakistanu i Stanów Zjednoczonych w obecnym konflikcie, kwestiach etnicznych i wizycie Ahmeda Szaha Masuda w Europie na zaproszenie Parlamentu Europejskiego.

Jesienią 2000 roku do Masuda przybyła delegacja Wspólnoty Europejskiej, pragnąca zapoznać się z ogólną sytuacją na froncie, problemami humanitarnymi, możliwościami udzielania pomocy itp. Osiem miesięcy później, 3 kwietnia 2001 roku Ahmed Szah Masud, jako wiceprezydent Afganistanu, minister obrony i naczelny dowódca siłami ruchu oporu Zjednoczonego Frontu, przybył do Paryża na zaproszenie francuskiego Zgromadzenia Narodowego i przewodniczącej Parlamentu Europejskiego. W skład delegacji weszli gen. Sajed Hussein Anwari (szyita, Hazar z okolic Bamijanu, jeden z liderów partii Harakat-i Islami, członek Rady Dżihadu

i Rady Kierowniczej Rządu Afganistanu), gen. Arif Nurzai (Pasztun, dowódca z Kandaharu, członek Rady Wojskowej Rządu Afganistanu), gen. Piram Kol (Uzbek z północy Afganistanu, członek Rady Wojskowej Rządu Afganistanu), a także liczna grupa przedstawicieli rządu afgańskiego i dyplomatów.

Generał z uznaniem wypowiada się o polityce rządu Tadżykistanu w stosunku do afgańskich uchodźców. Ale prawdą jest też, że nastroje wśród afgańskich emigrantów są nieco odmienne.<sup>7</sup>

Nie wszyscy Afgańczycy mieszkający w Tadżykistanie to uchodźcy, uciekający przez widmem śmierci z rąk talibów. Wielu z nich to emigranci ekonomiczni, choć na paradoks zakrawa, że wybierają właśnie ubogi Tadżykistan. Nie mają alternatywy.

Prości mieszkańcy republiki Tadżykistanu wciąż dobrze pamiętają, że wielu z nich — uciekinierów przed barbarzyńską wojną domową w Tadżykistanie w latach 1992-1997 — uzyskało gościnę w domostwach afgańskich. Władze Tadżykistanu, już nie tak gościnne, nie kierują się sentymentami swego prostego ludu.

Za dziesięć dni będę rozmawiał w Hodża Bahauddin z młodymi Afgańczykami, którzy z gotowymi paszportami czekają miesiącami na tadżycką wizę, co umożliwi im wyjazd przynajmniej do Tadżykistanu, a może do Europy...

Amir — jeden z napotkanych przeze mnie Afgańczyków przygotowujących się do emigracji — powiada, że w Stuttgarcie od kilku lat mieszka jego wuj i brat: „Mój brat ożenił się z Niemką i jest szczęśliwy. Co innego wuj. Nie może się do tej pory znaleźć w nowym otoczeniu”. Za miesięczną wizę, która umożliwi mu dostanie się na samolot w Duszanbe, Amir musi uiścić opłatę w wysokości 700 USD. Wszyscy oburzają się na wysokie ceny, jakie przychodzi im płacić za tadżycką wizę.

Tłoczmy się w siedmiu w malutkim pomieszczeniu na matach rozłożonych na klepisku. Opieramy się o gliniane, niemalowane ściany. Otwór naprzeciwko drzwi, służący za okno, zastawiony jest gęstym kłębowiskiem kolczastych porostów, które Amir polewa wodą. W południowym oślepiającym słońcu krople lśnią niczym górskie kryształki, obficie skapują skrzącymi się gronami, rozpryskują się na kolczastych włóknach kłębowiska. Tak działa tradycyjny system chłodzący i nawilżający.

Dwudziestoosmioletni Nazrullah dodaje:

— W Rostak mam rodzinę, żonę i dwóch synów — tradycyjnie liczby córek nikt nie podaje i nietaktem jest pytanie o nią.

— Jako najmłodszy z braci nie mam własnego gospodarstwa. Nie mam tu niczego. A rodzinę muszę wykarmić. Czekam już siedem miesięcy na wizę. Żeby, choć dali na trzy miesiące. Może na dłużej. Chciałbym znaleźć tam jakąkolwiek pracę. Ale każą mi płacić za trzymiesięczną wizę 1700 USD. — Wielu Afgańczyków liczy, że uda się im dojechać bardziej czy mniej legalnie do Moskwy, a może jeszcze dalej.



Zaporowe opłaty paszportowe zdaniem władz Tadżykistanu mają ratować kruchą równowagę wewnętrzną i gospodarkę. Mimo to wielu Afgańczyków gotowych jest tę cenę zapłacić.

Wiosną tego roku nastroje wśród Afgańczyków w Duszanbe nie były najlepsze. Prezydent Rachmanow wydał dekret, nakazujący wszystkim Afgańczykom opuścić miasto w przeciągu trzech miesięcy i przenieść się do obozu skleconego naprędce poza jego granicami. Dla wielu oznaczałoby to nie tylko zamianę dachu nad głową na namiotowe płótno, ale także utratę pracy lub możliwości znalezienia dorywczego zajęcia. Sytuacja nabrzmiała i groziła wybuchem. Na początku lipca, tuż przed upływem ultimatum, prezydent zawiesił wykonanie dekretu. Ale nie odwołał.

Osobnym wątkiem poruszonym przeze mnie w rozmowie z Bismillahem Khanem są narkotyki. Przezornie zostawiłem te pytania na koniec rozmowy — i słusznie, gdyż temat okazał się bardzo drażliwy. Rozmowa się skończy, jak tylko wybrzmi niefortunne pytanie o plantacje maku w Afganistanie północnym, głównie w Badakszanie, kontrolowanym przez Sojusz Północny.

Będę jednak uparcie powracał do tego wątku na każdym kroku.

Dopijamy herbatę, Bismillah Khan odprowadza mnie do wyjścia — stalowej bramy strzeżonej przez uzbrojonych wartowników.

— *Khuda hafiz!* — mówię na pożegnanie.

Pod bramę podejżdża przygotowany dla mnie dżip. Stoję na krawędzi wysokiej skarpy, paręset metrów powyżej płaskowyżu Szemali. Niemal opieram się o żółtawobrudny mur, wzniesiony z suszonych na słońcu cegieł, przez ostatnie półtora wieku pokrywany sadzą czasu, warstwa za warstwą.

W tym miejscu mieścił się brytyjski garnizon, IV Regiment Gurków, zdziesiątkowany na początku 1842 roku — podczas I wojny anglo-afgańskiej (1839-1842) — przez Kohistańczyków, powstańców z pobliskiej kotliny Koh Daman. Antybrytyjskie powstanie trwało już od 2 października 1841 roku — jako reakcja koalicji plemiennej na brytyjską uzurpację i próbę osadzenia na tronie w Kabulu uzurpatora Szaha Szudży. Wskutek niewłaściwej oceny sytuacji politycznej przez generalnego gubernatora Indii, lorda Aucklanda, siły brytyjskie ruszyły na Afganistan. 6 sierpnia 1839 roku do Kabulu weszli Brytyjczycy, już po rozgromieniu armii amira Dosta Mohammada Khana pod wodzą jego syna Haidera Khana. Dzień później w Kabulu na tronie jako amir został osadzony Szah Szudża, który potem — w 1842 roku — zginął z rąk powstańców afgańskich.

## Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel. (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (0 22) 620 87 03

e-mail: [biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl](mailto:biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

### Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:

- Języki orientalne
- Języki Azji i Afryki
- ~~Literatury orientalne~~ Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
  - Skarby Orientu
  - Teatr Orientu
  - Życie po japońsku
  - Sztuka Orientu
  - Dzieje Orientu
- Podróże – Kraje – Ludzie
  - Mądrość Orientu
- Współczesna Afryka i Azja
  - Vicus. Studia Agraria
  - Orientalia Polona
- Literatura okresu transformacji
  - Literatura frankofońska
    - Być kobietą
    - Temat dnia
  - Życie codzienne w...

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową